

OPOWIEŚCI STĄD —

WYSŁUCHANE
DOSTRZEŻONE
WYOBRAŻONE

*przez mieszkańców dzielnic
Dąb i Józefowiec-Wełnowiec*

WYSŁUCHANE



PAN EDWARD

GRANICE

Spotkaliście się z powiedzeniem *idę do Katowic?*, *idę na Wełnowiec*, *idę na Józefowiec*, *idę do Dębu*? Nawet jeśli ktoś mieszka na Wełnowcu, to często mówi, że idzie *na Wełnowiec*. W świadomości ludzi pozostały bowiem dawne granice dzielnic. Związane jest to z przeszłością, bo Dąb nie był taki, jaki jest teraz.

Do końca XVIII wieku nie było Wełnowca i Józefowca, był tylko Dąb i Bytków. Granica przebiegała zupełnie inaczej: od wieży telewizyjnej, Bytkowską, Józefowską aż do cmentarza, potem dalej na wschód wzdłuż Rowu Wełnowieckiego. Wełnowiec to aloidalne dobra Bytkowskie wykupione od rodziny Kłochów przez księcia Hohenlohe, który widział w zakupionych terenach dobry interes.

I teraz ważne pytanie: *Jak to się stało, że pojawił się Wełnowiec?* Zaczynały powstawać pierwsze kopalnie i zaczął rozwijać się przemysł – przede wszystkim hutnictwo żelaza. Każdy przemysł wymaga jednak inwestycji. Książę Beder, który miał kopalnię, miał nadwyżki finansowe i z tych nadwyżek kupił część Wełnowca, z której powstał Józefowiec. Ulica Józefowska stała się pośrednią granicą pomiędzy Józefowcem a Dębem. To, co na zachód od Józefowskiej, to dalej jest Dąb, a na południe – wąskim klinem – wcięty jest Józefowiec – od Karłowicza po Słoneczną, od Rowu Wełnowieckiego po Józefowską. Potem były kolejne zmiany organizacyjne – na początku XX wieku Dąb został okrojony, na co wpłynęły różne czynniki polityczne i ekonomiczne. Ale w ludzkiej świadomości pozostał stary podział.

DZIECIŃSTWO

Z czasów dzieciństwa pamiętam, że tu przy Szczecińskiej mieszkali gospodarze, niektórzy z nich byli dość dobrze sytuowani. Ulica Józefowska była brukowana, przez co było słychać konie, których w tym rejonie nie brakowało. Dzisiaj gdy słyszę odgłos idącego konia, to przypomina mi się dzieciństwo. Na polach było źródło – podejrzewam, że do dzisiaj istnieje. W latach osiemdziesiątych chodziłem do studni głębinowych, które są pod pawilonami – stamtąd pompuje się wodę. Pamiętam, że pod kościołem na Józefowcu były pompy, które wodę wypompowywały

na ulicę – na obecną ulicę Mikusińskiego – i ta woda spływała do kanalizacji.

Z czasów dzieciństwa pamiętam także, że pod kościołem na Józefowcu było przejście z obecnej SP 17 na Józefowskiej pod kościół. Nigdy tamtędy nie szedłem. Ludzie opowiadali, że tymi podziemiami można było dojść do kościoła. Ja to sobie tak tłumaczę, że pod nowym kościołem na Józefowcu był schron, i podejrzewam, że te przejścia mogły być po prostu wyjściami ze schronu.

Mój ojciec hodował gołębie – to była jego pasja. Kiedyś łatwiej było coś takiego zorganizować,



a teraz? Który z sąsiadów w bloku zgodziłby się na hodowlę gołębi?

Szpital też był terenem otwartym – pamiętam, że jak się skaleczyłem, to poszedłem do szpitala, nikt się nie pytał, czy to mój rejon, tylko mówili: *Chodź tu, synek, zszyjemy ci to i pójdziesz do domu*. A dzisiaj się robi takie problemy formalne, jakby nie wiadomo co. Gdy nasz kolega zmarł na białaczkę, to dowiedzieliśmy się tego podczas gry w piłkę na „raku”. Ktoś powiedział, że *Andrzej nie żyje*. Od razu poszliśmy do kostnicy i nie było takich problemów jak teraz. Życie nie było takie

sformalizowane. Ludzie sami tworzyli zasady i sami starali się ich przestrzegać. Podobnie było z myciem korytarzy – kiedyś sami lokatorzy je myli, a teraz są sprzątaczk.

Co było ciekawe? Wszystkie tereny poprzemysłowe były ciekawym miejscem zabaw dla dzieci. We wszystkich nieckach pokopalnianych były stawy, w których dzieci się kąpały. Na polach po zimie też powstawały takie stawy, więc znosiło się deski i robiło tratwy, i na nich się pływało. Wszystkie hałdy zimą były idealne do zjeżdżania na sankach i na nartach. To było inne życie niż dzisiaj.

Mieszkałem w familoku, gdzie było ośmiu lokatorów, w tym trzech bezdzietnych, i dziewięcioro dzieci – wszystkie zbliżone wiekowo. Nie było więc problemu, żeby stworzyć drużynę piłkarską czy do hokeja. Dziś jak jest pięcioro dzieci na placu, to jaka sensacja, jakie larum. Kiedyś w innych blokach było to samo i życie towarzyskie było rozbujane. Graliśmy w piłkę, czasem tak długo, że już tej piłki się nie widziało, bo robiło się ciemno.

Były planty małe i duże. Małe były na ulicy Bytomskiej (dziś Skwer ks. Kałuży), a dzisiejszy Skwer Walentego Fojkisa to duże planty z górką, która zimą służyła za tor saneczkowy. W lasku Alfreda jeździli na nartach. Z tej wielkiej hałdy to był wyczyn zjechać.

To życie było inne. Czy było ciekawsze?

W dzielnicy był też basen, a właściwie zbiornik przeciwpożarowy – otworzyli go pod koniec lat

sześćdziesiątych. Dzieci miały uciechę. Wszyscy pływali i nie słyszałem, żeby się ktoś utopił. Na plantach była fontanna i jako dzieci tam też się kąpaliśmy. Teraz dzieci siedzą tylko przed komputerami, nie mogą drużyny piłkarskiej zebrać, bo jest ich trzech – i jak tu się podzielić? Dziewczyny kiedyś grały w gumy, w grzyba, a chłopaki albo gonili się nawzajem, urządzali „strzelaniny”, albo grali w piłkę. A jak jeszcze ktoś miał dwie piłki, to nie było siły, żeby nie grał. Sam miałem piłkę i nawet gdy byłem najmłodszy, to nie było możliwości, żebym nie grał. Mama pozwalała wziąć piłkę, ale jak ja grałem... Jeśli się koledzy sprzeciwiali, to mama wkraczała, zabierała piłkę i nikt nie mógł grać. Kiedyś nie odczuwało się tak różnicy pomiędzy wiekiem dzieci – osiemnastolatki grały z ośmiolatkami. W ogóle sport w tej dzielnicy był popularny – tutaj w Parku Wełnowieckim był

kort do tenisa, a pierwszy związek gry w tenisa był właśnie przy zakładach na Wełnowcu w 1925 roku. Podobnie było z piłką nożną i zapasami – ludzie odnosili sukcesy.

Pamiętam jeszcze, że gdy byłem dzieckiem, w dzielnicy przy ulicy Agnieszki były baraki – na podmurówce, drewniane. Nie wiem, co się z nimi stało, może odchodziły gazy kopalniane. Jak się na bieżąco nie ogląda, to potem się tego nie widzi. Dopiero nagle się człowiek orientuje, że nie ma budynku, nie ma tego, tamtego. Kolonia Agnieszka to kiedyś był największy teren biedaszybów w Polsce. Niby to było nielegalne, ale skoro od każdej tony gmina Wełnowiec narzucała podatek? Wiosną jest to szczególnie widoczne, po opadach śniegu widać zapadliska, które istnieją do dnia dzisiejszego, szczególnie w części parkowej, bo w wełnowieckiej zostało

to zrównane z ziemią. Ludzie chcieli żyć, nie chcieli kraść, więc pracowali w ten sposób i ryzykowali – były wypadki.

Budynki były dziwne, z masą komórek, zakamarków, w których ludzie hodowali króliki, kury, a nawet gęsi. Z czasem hodowle zwierząt zanikały, bo kto to widział trzymać świnie w mieście.

Ogólnie życie tutaj było spokojne. Pamiętam tylko jedną katastrofę przy ulicy Bytkowskiej – teraz tam są banery reklamowe, dawniej był budynek. Podczas burzy jeden z mieszkańców wyszedł na zewnątrz, do ubikacji, gdy wtem wiatr zerwał dach, a całe pranie, które suszyło się na strychu, poleciało w stronę jednostki wojskowej. Można sobie wyobrazić, co ten niešťczęśnik przeżył. Żołnierze z jednostki wojskowej całe pranie zebrali i odnieśli mieszkańcom. Potem ten budynek został zburzony.



HUTA CYNKOWA

Huta Cynkowa wywierała duży wpływ na dzielnicę – była największym zakładem. Poza nią były mniejsze: Rapid, Erikson, a potem były takie malutkie jak garbarnie, fabryka farb i lakierów i inne. Huta była centrum dzielnicy pod każdym względem, nawet sportowym – już przed wojną utrzymywała kluby. Proszę sobie wyobrazić: wracało się latem o 21.30, w hucie były okna otwarte, a te piękne ogniki kolorowo migotały od zawartych w nich minerałów – na żółto, zielono, czerwono, niebiesko. Było dobrze, jeśli wiał wiatr zachodni i to szło w kierunku hałdy, wtedy nie czuło się tego ciepła. Gorzej, jeśli wiało na dzielnicę.

Jak rajmowali piece, to trzeba było zdążyć za dziesięć szósta, bo całą ulicą Korfantego wzdłuż tego płotu, który tam jeszcze stoi, trzeba było iść z zamkniętymi oczami, bo oczu nie szło otworzyć – tak kłuło. Prawdopodobnie czyścili piece i jak to wydymowało, to nie dało rady przejść.

Roślinność była całkiem inna – były takie kwiatuszki, takie dziwne, rachityczne, ale się dobrze trzymały, widocznie ta kwaśna ziemia im odpowiadała. Topole i kasztany też jakoś przeżyły. Ale, co dziwne, jak pamiętam, do połowy lat siedemdziesiątych na stawach były żaby, traszki i nagle to wszystko zniknęło. Nie wiem, czy to był całkowity wpływ tego przemysłu.

A teraz nie ma tej emisji i jest tak źle. Huta dawała wszystkim ludziom zatrudnienie i schronienie. Po wyburzeniach koło 1976 roku dzielnica Józefowiec na pewno się zmieniła. Cała jedna strona i część drugiej strony ulicy Józefowskiej zostały wyburzone. Część zamieszkujących tam ludzi przesiedlono w okolice ulicy Słonecznej.

TUTAJ CZUJĘ SIĘ SWOJSKO

Nowym ludziom trudno jest się zasymilować w krótkim czasie, tak żeby potrafili się ze wszystkimi zjednoczyć. Ja mieszkam tutaj od urodzenia. W każdej dzielnicy można się dobrze poczuć, jeśli się ma znajomych. Czuję się tutaj swojsko, podobnie jak niewidomy, który w swoim mieszkaniu czuje się pewnie. Idąc w nowe miejsce, nie wie się, z kim się rozmawia. Rodzina matki mieszka tutaj od 1922 roku, rodzina ojca od 1902. Kiedyś ludzie bardziej się znali – po rodzicach w mieszkaniu mieszkali dzieci i była pewna ciągłość. Teraz ludzie się nie znają – młodzi żyją swoim światem, starsi żyją swoim. Kiedyś miałem tutaj wielu znajomych, część się wyprowadziła, część poumierła. Gdy szło się do sklepu, to się znało wszystkich i nic się nie działo, gdy nawet komuś zabrakło kilka groszy – mówiło się tylko: *Aaa, to mama dopłaci*. Gdy coś się zbroiło, to w domu już wiedzieli. Czasem myślę, że kiedyś informacje docierały szybciej niż teraz Internet. Kiedyś, gdy się szło na pasterkę do kościoła, to szły tłumy, a teraz wracając tą samą drogą, to wychodzi dziesięć, a ja mieszkam najdalej, więc połowę drogi idę sam.

PAN JANUSZ ŻYMŁA

PRZEDSZKOLE I ZAKŁADOWY DOM KULTURY

Przedszkole przy Zakładowym Domu Kultury Kopalni Gottwald przy ulicy Krzyżowej powstało w 1955 roku. Miałem wtedy pięć lat i przyjemność być jedną z pierwszych uczęszczających do niego osób. Pamiętam, że nie lubiłem pić tranu, a kiedy skrzyłem nogę, jedna z przedszkolank zaniósła mnie na rękach do domu. W tamtych czasach przedszkole było atrakcją, nie mogliśmy się doczekać, kiedy znów do niego pójdziemy.

Po przedszkolu chodziłem do świetlicy i na różne zajęcia. Było kółko szachowe... a nawet balet. Było to powiązane z Orkiestrą Dętą Kopalni Gottwald. Grali w niej mój dziadek i ojciec, więc zaangażowali i mnie. Kiedy zostały uszyte mundury, przyszli i powiedzieli nam, że będziemy tańczyć w balecie. I tak było do końca szkoły podstawowej.

Później graliśmy w przedstawieniach teatralnych, jak na przykład *Księżniczka na ziarnku grochu*. Było ciekawie, było co robić. Z domem kultury byłem związany aż do 1969 roku. Wtedy poszedłem do wojska.

SZKOŁA NR 19

O szkole można mówić dużo, tu spędziłem siedem lat – od 1 do 7 klasy, od 1957 do 1964 roku. Pamiętam z tych czasów kierownika, pana Marcy, który uczył nas fizyki, śpiewu i gry w szachy. To był bardzo wszechstronny człowiek. Mieszkaliśmy wtedy przy ulicy Bukowej, czyli około 100 metrów od szkoły, co nie przeszkadzało mi regularnie się spóźniać...

Nie mogę też nie wspomnieć o wspańiałym nauczycielu wychowania fizycznego – panu Siwku, który był także trenerem piłkarek ręcznych i wielkim pasjonatem sportu. Każdej zimy robił dla nas lodowisko. Każdy donosił śnieg i przez wiele lat boisko szkolne zamieniało się w lodowisko. Pan Siwek grał z nami w piłkę nożną, ręczną, prowadził drużynę żeńską i do późnych lat był aktywnym trenerem. Nie wiem, czy jeszcze żyje, ale jeśli tak, to wszystkiego najlepszego dla niego.

Pamiętam również sklepik pana Gutkowskiego, który miał dobre ogórki kiszane i kapustę, więc w całej klasie rozchodziły się zapachy... Naprzeciwko szkoły był też kiosk ruchu, który prowadziła pani Dybała. I tam kupowało się pierwsze papierosy, więc pamiętam także pierwsze dzieciinne grzeszki.

Okres szkoły kojarzy mi się jeszcze z moim pierwszym głosowaniem w 1968 roku. Nie byłem jeszcze pełnoletni, ale państwo zarządziło, by wszystkim z '50 rocznika wydać dowody osobiste, żeby mogli zagłosować. Mimo że nie miałem 18 lat, brałem udział w wyborach.



BOISKO GKS „KATOWICE”

Byłem też świadkiem historycznego wydarzenia. W 1964 roku skończyłem szkołę podstawową i w tym roku zostało również uruchomione boisko Górniczego Klubu Sportowego „Katowice” przy ulicy Bukowej. Było to wielkie święto dla całej dzielnicy. Podczas uroczystego otwarcia stadionu wstęgę przecinał ówczesny minister górnictwa – Jan Mitręga. Miałem okazję stać obok niego... dopóki mnie nie wygonili...

Mieszkałem na Bukowej, a z tej strony trybuny i drzewa były niższe, mecze mogłem więc oglądać z okna. Zanim powstał stadion, w tym miejscu były pola uprawne i przez sam środek przebiegała ścieżka. Na tej łące odbywały się zabawy, na przykład kopanie bunkrów. Park Śląski jeszcze nie istniał, a to miejsce nazywaliśmy „Szwajcarską Doliną”.

Mieszkańcy Dębu mocno przeżywali budowę stadionu, bo zlikwidowano boisko zespołu KS „Dąb”, który był chlubą dzielnicy.

JEDYNA BOMBA

W okresie wojennym jedyna bomba, która spadła na dzielnicę, utraciła balkon kamienicy przy ulicy Dębowej 57. Z tego, co wiem, było to jedyne zdarzenie związane z nalotem, bo oczywiście przez całą okupację byli tu Niemcy.

Obok kamienicy, na którą spadła bomba, jest słynny sklep „Garus” przy ulicy Dębowej 57, który istniał jeszcze przed wojną. Za to do sklepu Gajdzika przy ulicy Dębowej 80 moja sąsiadka wysyłała po zakupy swojego psa. Wilczur przynosił w zębach kartkę i pieniądze. Stawiał łapy na ladzie, dostawał co trzeba do siatki i szedł do domu. Teraz to jest nie do pomyślenia...

Kiedyś w dzielnicy wszyscy się znali, choć nie była mała. Jak pojawiał się ktoś nowy – od razu było wiadomo. Działo się tak dlatego, że ludzie mieszkali tu od pokoleń. To jest dzielnica górników i hutników. Blisko stąd było do Kopalni Eminencja, Huty Baildon, Huty Cynkowej.

ORKIESTRA DĘTA KOPALNI GOTTWALD

W Kinie „Dębianka” przy ulicy Dębowej 12 mieściła się biblioteka i siedziba Orkiestry Dętej Kopalni Gottwald. Miałem przyjemność grać w niej przez siedem lat z moim ojcem i dziadkiem. Ojciec oprócz tego, że był elektrykiem, w kopalni grał w orkiestrze i pisał kronikę. Od pierwszego dyrygenta, pana Wicharego, do 1985 roku, czyli praktycznie do końca.

Kronikę po jego śmierci dostałem ja, ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zostanie udostępniona większej liczbie osób. Skontaktowałem się zatem z panią Urszulą Rzewiczok, naszą dębianką, która jest kustoszem w Muzeum Historii Katowic, i przekazałem jej kronikę. Mam nadzieję, że ktoś kiedyś wykorzysta zawarte w niej informacje. Są tam zdjęcia od 1920 do 1985 roku. Polecam zobaczyć.

Jeśli chodzi o samo kino, to zjeżdżali do niego mieszkańcy również z sąsiednich dzielnic. Miałem okazję oglądać w nim film *Krzyżacy* ponad 40 lat temu. Nie było łatwo dostać bilety, ale dziadek zawsze wysupłał z kieszeni dwa pięćdziesiąt i chodziłem.

Za kinem był park „U Kosza” – nazwany tak, bo właścicielem był właśnie pan Kosz. Odbywały się tam spotkania niedzielne, grała orkiestra Kopalni Gottwald. Atrakcje kulturalne organizowano tam od czasów przedwojennych. Teraz to niestety zaniedbany teren.

DĄB – MÓJ HAJMAT

Kiedyś panowało przekonanie, że jeśli urodziłem się w Dębie, to tu muszę umrzeć. Nie każdy mógł i nie każdy chciał się stąd wyprowadzać. Ja w Dębie jestem u siebie. Tu jest mój hajmat. Nie wszyscy jednak wiedzą, co to znaczy – hajmat to jest ojcowizna. Faterland to jest ojczyzna, ale faterlandów ludzie mogą mieć nawet dziesięć. Można mieszkać w Niemczech, Kanadzie, Stanach, ale hajmat jest zawsze jeden – tam, skąd się człowiek wywodzi, gdzie się urodził.

W Dębie urodziłem się ja, ojciec, dziadek, a pradiadek przyjechał do Dębu w 1872 roku.

PANI ANNA

Mieszkam w dzielnicy Dąb od dziesięciu lat. Nie jestem urodzoną dębianką, ale jestem mocno związana z tym miejscem. Dobrze się tu czuję, jest tu specyficzna atmosfera – dobry duch tego miejsca.

Mam życzliwych sąsiadów, więc nie trzeba martwić się o dom. Wędrując ulicami, miałam też okazję poznać inne przyjazne osoby, które tu mieszkają i pracują. Dzielnica jest położona w strategicznym miejscu. Jest blisko do centrum Katowic i Parku Śląskiego. Można wypocząć, ale jesteśmy też blisko miasta. O tak dobrej atmosferze decyduje także duża ilość zieleni i ciekawa architektura budynków.

Można tu zobaczyć bardzo malownicze kamienice, inne od standardowych, i różne, urokliwe, ciekawe miejsca. Jednym z nich jest kapliczka na ulicy Dębowej. To bardzo charakterystyczny punkt. Zabytkowy obiekt idealnie współgra z architekturą dębskiego kościoła. Kapliczka jest zawsze zadbana, mieszkańcy dbają o swoje zabytki.

Dzielnica Dąb jest interesująca również dlatego, że spotykają się tu dwa światy. Stare spotyka się z nowym. Taka jest nasza rzeczywistość. Istnieje też wielkie centrum handlowe Silesia, inne nowoczesne budynki, a obok zabytki.

Najważniejsze jest, by ludzie odnaleźli się w tych dwóch przestrzeniach i potrafili znaleźć w nich swoje miejsce...



* wieloletni sekretarz i współzałożyciel Towarzystwa Miłośników Dębu

PAN JERZY LINDNER*

Kiedy skończyła się działalność starego Zakładowego Domu Kultury, Towarzystwo Miłośników Dębu było jedyną organizacją, która nadal funkcjonowała i upominała się u władz o wybudowanie nowego Domu Kultury. Zmieniała się władza, ale nasz zarząd ciągle nękał urzędy interwencjami i pismami – w sumie przez osiem lat.

Pod koniec 2012 roku zaczęto nas zapewniać, że zostanie wybudowany nowy Dom Kultury. Cieszyliśmy się bardzo, kiedy rozpoczęto budowę, bo nasza cegielka była ważną częścią, którą trzeba podkreślić.

Cieszymy się i z radością obserwujemy, jak w nowym Domu Kultury znów wiele się dzieje i są kontynuowane działania kulturalne. To miejsce tętni życiem – swoje zajęcia mają tu dzieci, dorośli i seniorzy.

Dom Kultury był i jest nadal sercem, które bije dla tej dzielnicy.

PANI DOROTA

Pochodzę z dzielnicy Józefowiec z dziada pradziada. Urodziłam się w 1945 roku w Józefowcu. Mieszałam przy ulicy Józefowskiej. Moi rodzice zajmowali się rzeźnictwem, gospodarstwem domowym i rolnym. Pochodzę z licznej rodziny, która składała się z szesnastorga rodzeństwa i rodziców. Do szkoły chodziliśmy również przy ulicy Józefowskiej (czerwona szkoła) – obecnie nr 17.

Jak pamiętam, Józefowiec, w którym dorastaliśmy, był całkiem inny, bardzo dużo się zmieniło. Tam, gdzie dziś jest przychodnia i kościół, nie było ulicy – tylko szły same pola (dzisiaj jest osiedle). Tam, gdzie dziś jest przychodnia przy ulicy Kotlarza, płynęło źródło, z którego nabieraliśmy wodę do picia przy pracach przy żniwach czy wykopkach (dzisiaj źródło płynie pod betonami).

Budynki Józefowca wyróżniały się starannie projektowanymi ozdobnymi obramieniami drzwi i okien, a także podwórzami i placami między domami i chlewikami. W chlewikach każdy z sąsiadów mógł coś hodować: świnię, kozy, drób, króliki. W Józefowcu mieszkali także różni rzemieślnicy i gospodarze, którzy utrzymywali całe gospodarstwa: konie, krowy, świnię, kozy i inne. Wśród rzemieślników byli sklepikarze, piekarze, rzeźnicy, szewcy, zegarnik, krawiec, był też magiel, palarnia kawy, garbarnia, drogeria i apteka. Działały też restauracje: „U Janczaka”, „Metalowiec”, „Mały Bar” – tam się różnie działo. W pobliżu Józefowca była uruchomiona Huta Żelaza – Hohenlohe – w latach dwudziestych XX wieku nazwana Hutą Cynku. Były tam różne biedaszyby węgla kamiennego, po których teraz pozostał tylko ślad. Na terenie dzisiejszego archiwum istniały koszarzy jednostki wojskowej. Wzdłuż ulicy Józefowskiej były wybudowane prywatne kamienice i familoki dla tych, którzy przyjeżdżali za pracą.

Mieszkania w familokach składały się z jednego pokoju i kuchni, w której był piekarnik (a raczej piec do pieczenia chleba), wspólnej umywalni, pralni, łaźni, ubikacji w podwórku i komórek na węgiel. W kuchni robiło się wszystko: gotowało, piekło, prało, szyło, cerowało. Izba służyła do spania, a czasem przyjmowało się tam gości i kolędę.

Wszystkie prace należało wykonać w dni powszednie. Sobota była do sprzątania domu i placu i przygotowania wszystkiego, co potrzebne na niedzielę. Po robotach trzeba było zagotować sagan wody do kąpeli. Niedziela była dniem świętym. W niedzielę można było pracować tylko przy przygotowaniu posiłków, w trakcie których nikogo nie mogło braknąć przy stole. Było i tak, że każdy nieproszony gość i biedny mógł wspólnie z nami zjeść.



Kuchnia jaśniała bielą. Białe, lakierowane kuchenne meble, białe komplety kuchennych matek haftowanych kolorowymi nićmi: nad stołem, nad szafką, osłaniające wieszak na ręcznik. Uzupełnieniem kompletów białych, haftowanych i krochmalonych tkanin w kuchni były portiere w drzwiach, zaciągaczki kryjące schowki pod stołem i pod ławką na buty. Ściany uzupełniały: święty obraz, krzyż i kropielnica ze święconą wodą przy drzwiach wejściowych. Na ramkach mebli widniały porcelanowe kwieciste kubki (tak zwane szolki), ustawiane na nich pojemniki na

sypkie produkty, a także wyszorowane do białości surowe deski podłogi (czyli dyliny). Ściany kuchni malowane były barwną farbą kredową. W izbie wzdłuż ścian stały łóżka, szafy, komoda i bliźniak. Ważnym miejscem w izbie były święte obrazy przedstawiające Serce Jezusa i Serce Marii.

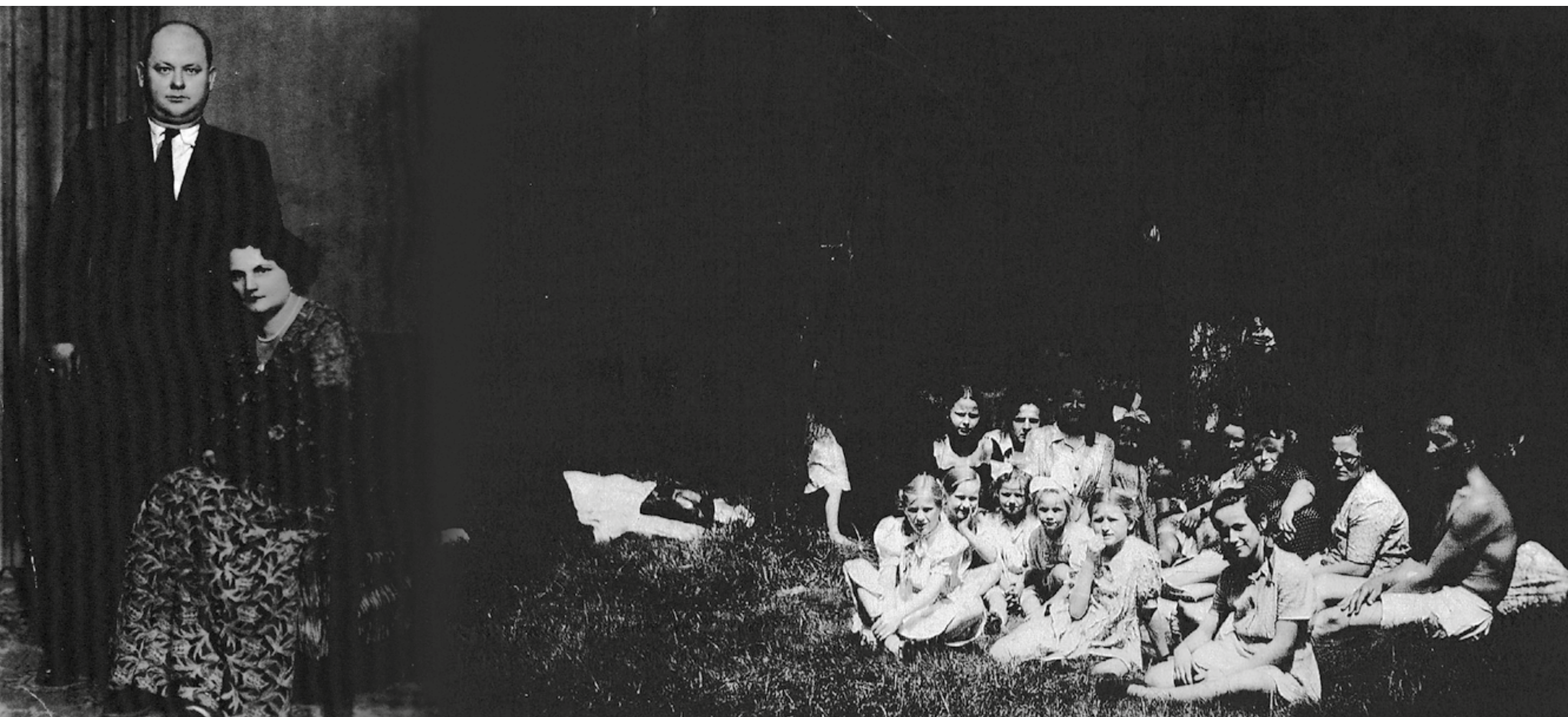
Moja rodzina była bardzo liczna – jak już wspomniałam, było nas szesnaścioro rodzeństwa i rodzice. Najstarsza siostra urodziła się w 1930 roku, a najmłodsza w 1951. Miałam dziecięć siostr i pięciu braci. Dwanaścioro rodzeństwa żyje – czworo odeszło do Pana. Do szkoły uczęsz-

czaliśmy przy ulicy Józefowskiej 26. Moi rodzice zajmowali się rzeźnictwem i gospodarką rolną, a do naszych zajęć należały obowiązki szkolne, pomaganie przy gospodarstwie, a także zajmowanie się młodszym rodzeństwem. Rodzice ciężko na nas pracowali. Mieliśmy wspaniałych rodziców – kierowali się przede wszystkim miłością do swoich dzieci, a także dzieci z biednych rodzin, a czasem i z domu dziecka, które zabierali na każde święta.

Mieliśmy wspaniałe dzieciństwo. Wolne chwile spędzaliśmy z dziećmi sąsiadów. Graliśmy w piłki, szukanie i tak zwane „strzałki” po całej

okolicy. Latem z innymi dziećmi chodziliśmy na łąkę z kocykami, braliśmy coś do jedzenia i picia, piłkę, przybory do szycia lalek i ubranek dla nich. Jedni wypasali krowy, gęsi, kaczki i bydło, a inni się bawili i było bardzo przyjemnie i wesoło. W niedziele zabieraliśmy dzieci sąsiadów i jechaliśmy z rodzicami wozem na wycieczki do lasu. Zimy były bardzo mroźne i śnieżne. Wtedy jeździliśmy na kulig, na łyżwy, sanki, a niektórzy zjeżdżali z górki na miskach.

Życie było całkiem inne w porównaniu z tym, co jest teraz. W roku szkolnym chodziliśmy do



Domu Kultury przy Krzyżowej – tam jedliśmy obiady, odrabialiśmy lekcje. Odbływały się tam także różne zajęcia: warsztaty, nauka języków obcych, chórek dziecięcy. W Domu Kultury nauczyłam się śpiewać i tańczyć pierwszego rock and rolla. Pamiętam też organizowane tam zabawy barbórkowe i karnawałowe.

PANI JADWIGA

Przyjechałam tu w 1952 roku. Pochodzę z poznańskiego, z okolic Kępna – Ostrowa Wielkopolskiego. U nas było gospodarstwo i było nas dużo – sześć dziewczyn. Wszystkie nie mogły zostać na tym gospodarstwie. Do tego wojna narobiła nam dużo szkody. W czasie wojny mama została wywieziona aż do Bawarii ze starszą siostrą, a mnie wysłano do cioci na wieś i tam musiałam paść gęsi za talerz zalewajki. W czasie wojny nasze gospodarstwo zostało rozebrane i mieszkaliśmy u sąsiada, aż je odbudowali.

Dziewczyny dorastały, ja byłam najmłodsza. Jedna wyjechała do Wrocławia, a trzy do Katowic. I potem ja przyjechałam, bo tam nie było pracy. Nie było nawet za co się ubrać. Gospodarstwo było biedne, zniszczone. Objęła je moja siostra. Ja miałam to zrobić, ale nie chciałam.

Tu pracowałam najpierw w ministerstwie na stołównie, a potem na stołównie w Kopalni Gottwald. Tak poznałam męża, on tam jeździł z towarem. I tak się zawiązała znajomość.

Gdy tu przyjechałam, to pomyślałam, że Wełnowiec jest po prostu taką wioską. Wszędzie pola, chatupki i węgiel wożony końmi. Ale się tym nie martwiłam. Młoda byłam, wie pani... to sobie nie zdawałam sprawy, bo patrzyłam za chłopcami. Na stołówkę chodziłam przez pola. Teściowa od zawsze hodowała kozę. Osiedle

Słoneczna to były same pola. Przez nie była wydeptana ścieżka, bo tamtędy do kopalni wiele osób chodziło na skróty, tu z Wełnowca. No, ale takie było życie, więcej uciechy.

Tam, gdzie teraz jest Lidl – przy ulicy Józefowskiej, stał nasz dom. W domu mieszały cztery rodziny. My jako młode małżeństwo mieszkaliśmy na poddaszu, potem dostaliśmy lepsze mieszkanie, gdy jedna babka umarła, bo wtedy było trudno o mieszkanie. No i tak młode małżeństwo musiało sobie radzić z ubikacjami na podwórku, zimą to była tragedia. Gdzie tam kto szedł na podwórko, nie? Na strychu stało wiadro jako toaleta, a potem się to wynosiło. Takie warunki były.

Po drugiej stronie, naprzeciwko domu, było pole. Mąż to zagroził, gdy córka szła do komunii, i zaczęliśmy chować zwierzęta. Chowaliśmy tu wieprzka, ale i barany, kaczki i kury. Mieszkaliśmy tam dziesięć lat. Nie pracowałam, bo wychowywałam dzieci i zajmowałam się tą gadziną w szopce. Potem zawsze mężowi wygadywałam, że wyjechałam ze wsi, a znowu musiałam pracować przy zwierzynie. Takie życie. Normalnie było jak na wsi, było wesoło. Nie tak jak teraz w bloku, każdy robi tylko dla siebie. Kiedyś sąsiedzi się spotykali i było miło.

Potem mąż wziął pożyczkę i wpłacił na konto, dostaliśmy więc ze spółdzielni mieszkanie. Mę-

żowi dawali mieszkanie na osiedlu Tysiąclecia, ale powiedział: *Ja się na Wełnowcu urodziłem i na Wełnowcu chcę umrzeć*. Dwa lata po przeprowadzce w 1978 do nowego mieszkania na Wełnowcu mąż umarł, w wieku 48 lat, na zawał. Syn miał wtedy 13 lat.

Przeszłam dużo w swoim życiu, teraz też nie mam lekko. Ale się cieszę, że jeszcze mogę gdzieś wyjść. Mam już osiemdziesiątkę na karku i opadam z sił. Ale jeszcze się nie daję.



PANI APOLLONIA

Mieszkam w tej dzielnicy od urodzenia – od 1935 roku. Chodziłam do przedszkola na rogu Karłowicza i Korfantego. Gdy byłam dzieckiem, często chodziliśmy do Parku Wełnowieckiego – grała tam orkiestra, było boisko do tenisa. Tam, gdzie był staw, była tak zwana „Szwajcarska Dolina” – przychodzili tam ludzie i rozkładali koce. Było bardzo ładnie. Wtedy nie było jeszcze parku, były same pola. W niedziele było bardzo uroczyste – chodziło się do parku. Kiedyś było bardzo dużo dzieci – z nami szły starsze dzieci, bo podczas okupacji nie wszyscy szli do komunii.

Z okupacji pamiętam, jak wjechały ruskie czołgi – obudziliśmy się rano i na ulicy stały dwa czołgi. Mama nas uciszała i kazała nie mówić po niemiecku, bo myśmy jako dzieci nie umieli mówić po polsku. Chodziłam do szkoły do „siedemnastki” i tam nas jeszcze uczono chodzić do schronu.

Wzdłuż Karłowicza był staw, do którego kiedyś wpadłam. Jako dzieci sami zrobiliśmy tratwę, za dużo nas na nią weszło i wpadliśmy do wody. Na Karłowicza była też ręcznie wykonana huśtawka, z którą związane jest jeszcze jedno moje wspomnienie z dzieciństwa. Miałam wtedy jakieś trzy i pół roku i do dzisiaj pamiętam, jak piłka mi wpadła pod huśtawkę i gdy po nią poszłam, dostałam w głowę. Straciłam przytomność i dzieci mnie zaniósł do szpitala i pobiegły po moją mamę. Jeszcze mam ślad po tym wypadku. Lekarz powiedział, że gdyby miejsce uderzenia było trochę wyżej, to już bym z tego nie wyszła.

To były zupełnie inne czasy. W szkole nauczyciele chodzili z nami do lasu i na pola w dzielnicy. Tam na osiedlu przy ulicy Słonecznej oraz za kościołem na Józefowcu wszędzie były pola. A za nimi płynęło źródło, z którego braliśmy wodę do butelek. Ludzie mówili na to „stoczek” – to

była dobra, czysta woda pitna. To źródło tam prawdopodobnie jeszcze jest – kościół stoi na wodzie. Ludzie się boją, że to kiedyś wybuchnie.

Z dzieciństwa pamiętam jeszcze, że do lasu między Karłowicza a Alfreda przyjeżdżali Cyganie. Gdy przyjeżdżali Cyganie, wszystkie dzieci biegły i krzyczały: *Chować kury, chować, bo Cyganie przyjechali*. Potem robili ognisko i tańczyli. Wszędzie unosił się zapach potraw, które gotowali.

To jest archiwalne zdjęcie. Kolonia Józefowiec. Z 1937 roku. Tu jest mama, ojciec, brat, siostra i ja. Mam dwa lata na tym zdjęciu. Zostało zrobione naprzeciwko szpitala. Do dzisiaj stoi tu ta figurka Panienki (Matki Boskiej), ten płot i planety. Kiedyś było więcej krzaków i drzew. A teraz takie pustki. Tutaj pięły się róże. Bardzo ładnie tu było. Dzieci były tak ubrane. Tak chłopcom obcinano włosy – z przodu zostawiali, a tył był wygolony. Ciocia nam szyła sukienki, bo była krawcową. To były kombinacje tych sukienek – robiła je z byle czego – ze starych rzeczy, *tu trochę odcięła, tu trochę wstawiła* i było. Tak się kiedyś robiło. Mama ubrana i uczesana tak, jak przed wojną, na tym zdjęciu miała 32 lata. Dziś mi się wydaje, że wyglądały poważniej, prawda? Dziś 32 lata, a kiedyś? A ojciec miał tylko 33 lata.

Mojego domu rodzinnego już nie ma. Został zburzony. W tym miejscu stoją wysokie bloki. Mój dom był *vis-à-vis* szpitala, w tej chwili jest tam tylko trawa. Mieliśmy pokój z kuchnią. Woda była na klatce schodowej, a ubikacje były, niestety, na dworze. Tak było. Jako dzieci, jak to dzieci, chodziliśmy się bawić. Miałam siostrę starszą o dwa lata i ona mnie zawsze wszędzie zabierała. Płynęliśmy kiedyś tratwą, wleciałam do tej wody, a huśtawka tu mnie uderzyła. Ale to są takie wspomnienia, których człowiek nie jest w stanie zapomnieć.



Na terenie Kolonii Agnieszka były biedaszyby, których już nie eksploatowano i zalano je wodą. Chodziliśmy się tam kąpać. Ludzie jeszcze mówili: *Uważajcie, żeby was wiry nie wciągnęły*. Potem stawy zasypali i wybudowali troszkę dalej Ośrodek Postępu Technicznego. Dziwiłam się, że postawili tam różne hale, bo pamiętam, że jako dziecko chodziłam się tam kąpać z siostrą i z koleżankami. Dużo dzieci tam chodziło. Te stawy były małe, ale miejscami były głębokie. Nabieraliśmy powietrza, wchodząc do wody, i wychodziliśmy w innym miejscu. A potem mama nas wyzywała: *A gdyby was tam wiry wciągnęły?* Ale mama nie wiedziała wszystkiego, bo miałam jeszcze młodsze siostry... Gdy szłyśmy na biedaszyby, to widzieliśmy jeńców – Anglików, wojskowych. Byli w mundurach – takich krótkich katanach. Jak dostawali paczki z Angli, to nas wołali i dawali nam czekolady. Fajne było dzieciństwo.

Każdy miał jakiś drób. Ale ludzie mieli też świnię, a sąsiadka miała kozę i dostawaliśmy od niej mleko. Kozę pasła się na łące, na której były też krzaki. Chodziliśmy tam po trawę dla królików. A jak nie było trawy, to chodziliśmy nawet tam, gdzie była dopiero zasiana. Króliki to lubiły. Ale nie wolno było wszędzie hodować – gospodarze bardzo pilnowali. Moja mama, żeby sobie dorobić, chodziła do gospodarzy, gdy były wykopki. Później, gdy mieszkaliśmy u Brola, który miał dwa domy, pola i sad, to też chodziliśmy na wykopki. Jak już gospodarz zebrał wszystkie ziemniaki, to pytaliśmy się go: *Możemy iść na wykopki?* Mieliśmy własne takie kopaczki i jak akurat było tak, że pług za nisko to wziął, to wynosiliśmy kolejne wiadra ziemniaków... Żona Brola, jak to zobaczyła z okna, to nie pozwoliła na nasze dalsze zbiory. Te pola były za domem, teraz tam jest żłobek i osiedle Jabłoniowa.



Zimą zjeżdżaliśmy z górki, a zimy były mroźne. Jak była zima, to była zima. Zdarzało się, że tak żeśmy zmarzli, że płakaliśmy, a mama wkładała nam nogi do ciepłej wody. Ja na przykład zjeżdżałam z tego pola aż do parku. Kiedyś, jak tak zjeżdżaliśmy, to wtedy właśnie był nalot. Akurat byłam z bratem. Miałam wtedy 10 lat, a on miał prawie 16. I brat mówi: *Chodź, idziemy na sanki, zjeżdżać*. I nadawali alarm – syreny wyły. To był '45 rok, styczeń. Była wojna, ale dzieci na sanki chodziły, a jak nie miały sanek, to zjeżdżały na deskach. Zjeżdżaliśmy z obecnej ulicy Agnieszki w kierunku dzisiejszego Parku Śląskiego. Nagle usłyszeliśmy alarm, że blisko są samoloty. Nie zapomnę tego, bo to jest takie wydarzenie dla mnie... Wtedy brat powiedział: *Jeszcze raz zjedziemy*. I gdy zjeżdżaliśmy ten drugi raz, nadleciały dwa samoloty zwiadowcze, ruskie. Jeden się zniżył i puścił serię. Brat krzyknął: *Skocz w prawo*. Seria tak poszła, że gdybyśmy skoczyli w lewo, toby już było po nas. Chyba Bóg nas ochronił. Człowiek jest praworęczny, to skacze w prawo.

Górki, z której zjeżdżaliśmy, już nie ma. To była bardzo długa górka. Teraz to jest zalesione. Ludzie zrobili sobie dzikie ogródki, które potem zlikwidowano, i teraz tam jest dzicz. Trasa zjeżdżania zaczynała się na ulicy Bytkowskiej, tam były dwa domy. To były dosyć strome górki, ale ja byłam odważna.

To zdjęcie zostało zrobione w Parku Wełnowieckim, mam na nim 21 lat, to były eliminacje do PCK – *Stalingród* 16.9.56. To szkolenie było na Plebiscytowej, tam mieszkalam, zakład pracy nas wysyłał. Byliśmy trzy lub cztery tygodnie, z lekarzami. Po skończeniu dostałam zaświadczenie, że jestem sanitariuszką i że w razie wojny można nas wziąć do pierwszej pomocy.

PANI ELZA

Mój mąż pochodził z Dębu – mieszkał przy ulicy Dębowej. Teraz tego domu już nie ma, bo wybudowali Drogową Trasę Średnicową. Ja się wychowałam na ulicy Wierzbowej, bo tam mieliśmy dom, a od wyjścia za mąż mieszkam na ulicy Panewickiej. Miałam czworo dzieci, a teraz zostałam sama, bo najstarszy syn się ożenił, ma dwoje dzieci, a najmłodszy wyjechał, a mamusia została z psem w domu. Dwoje moich dzieci nie żyje. Życzyłabym każdej matce takich dzieci, jakie ja miałam.

W tej chwili jestem najszcześliwsza, jak przyjdę do domu i sobie z psem porozmawiam. Jestem osobą schorowaną, mam kłopoty z chodzeniem.

Teściowa dostała order i mieszkanie w nagrodę za wykonanie planu sześcioletniego. Mąż też otrzymał order za 30 lat pracy w Hucie Baildon, był frezerem. Na zdjęciu jest moja teściowa w domu przy ulicy Dębowej. Tego domu już nie ma. Mój teść pracował w Hucie Baildon.

Teraz mieszkam z psem, prawie nie wychodzę z domu. Jeden z moich sąsiadów, gdy wychodzę z psem, zawsze mówi: *Ale, jaki ładny piesek*. Ja na to: *Dziękuję*, a on: *Ale, on jest tak ładny jak pani*. A ja mu na to: *Jak nie przestaniesz, to spotkam twoją kobietę i nie będziesz miał lekko*. Czasem myślę, że jakbym tego pieska nie miała, tobym w ogóle nie wychodziła.

Ta dzielnica bardzo się zmieniła. Kiedyś mogła pani iść tutaj nocą i nikt pani nie zaczepił, a teraz to już nie jest to samo. Sporo Ślązaków wyjechało do Niemiec, w tym i moi znajomi, na przykład Herman – kuzyn mojego męża. Dopóki huta była, to był dom kultury na Gliwickiej, kasyno na Ściegiennego i hala sportowa przy ulicy Chorzowskiej. Wszystko to robili robotnicy w czynie społecznym. Kiedyś była większa życzliwość między ludźmi. Jak pani szła Ściegiennego, a chłopcy szli do roboty, to machali z daleka. Nie było tej obcości, jaka jest teraz. Spotykaliśmy się częściej na festynach w domu kultury, w kasynie Huty Baildon, było święto Trybuny Robotniczej, 22 lipca „krupniaki”, „seta”, „galareta”. Kiedyś na rynku była budka z piwem i ławki i nie było żadnego huligaństwa. Hutnicy czy górnicy po robocie mieli w zwyczaju tam siadać.

Kiedyś kibice obcej drużynie to jedyne, co robili, to przebijali opony, nie było bijatyk, wszyscy grali w futbol, nawet ja – jak chodziłam do szkoły. Gdybym teraz nie była chora, to jeszcze bym poszła pograć.

Kiedyś chłopcy nie huliganili, a tu na samej Dębowej nie można było się nudzić, było boisko, kino „Dębiana”, a za nim była muszla koncertowa i kawiarnia – fajne tam były zabawy. Mecze pomiędzy zakładami. GKS powstał z górniczych klubów sportowych, bo kiedyś huty i kopalnie miały swoje boiska. Huta co niedzielę organizowała wycieczkę do Pszczyny – starymi samochodami ciężarowymi z drewnianymi ławkami. Każdy, kto pracował, zabierał rodzinę i jechał.

PAN JÓZEF

Moja rodzina pochodzi z okolic Ostrzeszowa i Kalisza. W latach trzydziestych mieszkańcy tych okolic masowo wyjeżdżali za pracą na Śląsk i za granicę. Moja rodzina ze strony matki wyjechała tu na Śląsk, do Wełnowca – do pracy w Hucie Cynku, a moi rodzice wyjechali do Francji, gdzie w 1936 roku się urodziłem. W 1939 roku w okresie letnim moja mama przyjechała na urlop do Polski – do rodziców. Gdy zbliżał się czas wyjazdu do Francji, moi dziadkowie doszli do wniosku, że lepiej, żeby mama sama wróciła – do siostry i do ojca – a mnie zostawiła w Polsce. Zbliżał się wybuch II wojny światowej, czas taki niepewny – nie wiadomo, kiedy mogliśmy trafić na działania wojenne. Pozostawienie mnie w Polsce miało uratować mi życie. Takie było rozumowanie moich dziadków. Miałem wtedy trzy lata. Stało się tak, że mama pojechała, mnie zostawiła w Polsce, w ’41 umarła babcia (mama mojej mamy), a w ’42 roku zmarł dziadek (tata mojej mamy) i zostałem sam z najmłodszą siostrą mojej mamy. Niemiec zabrał siostrę mojej mamy (czyli moją ciotkę) na roboty przymusowe, a mnie przygarnęła rodzina wielodzietna. Stamtąd zabrali mnie do ochronki.

Potem po wyzwoleniu, w ’46 roku, z Ostrowa Wielkopolskiego pociągiem pani z Polskiego Czerwonego Krzyża przewiozła nas do Warszawy. Był luty. Pociągi były wówczas przeludnione, bo sporo osób jeździło: rodziny, ludzie wracali z więzień, żołnierze z wojny. My weszliśmy na dachy pociągu i tak podróżowaliśmy do Warszawy. Dopiero gdzieś pod Warszawą w nocy zorientowali się, że na dachu jest dwoje dzieci. W nocy nas znieśli z dachu do wagonu towarowego, położyli na słomie i przykryli płaszcami wojskowymi.

W Warszawie zakwaterowano nas w szpitalu. Nie mieliśmy tam ani nauki, ani zabaw, więc od rana do wieczora pracowaliśmy przy sprzątnięciu i przygotowywaliśmy posiłki. Naszym znakiem rozpoznawczym był wycinek tektury z opakowania, na którym było napisane „Morka Józef – Francja”. To było przeciągnięte sznurówką od butów i z tym chodziliśmy na szyjach, służyło jak obecnie wizytówka. Wszystkim nam golili włosy i jeszcze taki proszek sypali, żeby wszy nie było. Nawet dziewczyny to czekało – bardzo z tego powodu płakały. Z czasem człowiek przyzwyczaił się do tego życia.

Pewnego dnia powiedzieli nam, że jedziemy do Francji – tam znajdziemy moją rodzinę. Podstawili nam samochód wojskowy. Jak wylądowaliśmy w Paryżu, to było ciepłutko i była wiosna. Na lotnisko przyjechało po nas wojsko francuskie i przywiozło nas za Paryż, tam był taki pałac, ogrodzony wysoką siatką. Mój cały ekwipunek to była mała walizeczka, a w niej szczoteczka do mycia zębów, mydełko, dwa ręczniki, wizytówka, czekoladki i kakao. Najwięcej miejsca u mnie zajmowały te czekoladki. Było nas siedemnastu – wszyscy czekaliśmy na rodziców. Rozsyłali telegramy, matki przyjeżdżały po swoje dzieci. Jeden ubywa, drugi ubywa, zostaje nas piętnastu, dwunastu, dziesięciu... człowiek już czuje emocje. Już nas zabawy nie interesowały. Staliśmy przy płocie i trzymaliśmy się za ręce. Jak szła Polka, to my po polsku krzyczeliśmy: *Weź mnie, pani!, Czy pani po mnie?* I wtedy ta Polka zaczynała płakać. I my też. *Dzieci kochane, co wy tu robicie?* – odpowiadała. A jak szła Francuzka, która nie знаła języka polskiego, to przechodziła obojętnie. Gdy jakaś kobieta wchodziła na teren ośrodka, to rzucaliśmy wszystkie zajęcia i zabawki. W końcu stałem się już obojętny, na niczym mi nie zależało. Została nas w końcu trójka. Mi nikt nie powiedział, jak moja matka ma wyglądać. Nie widziałem jej już tyle lat. Pewnego dnia weszła do ośrodka, inni ją ściskali, ja i kilku obojętnie staliśmy z boku. Matka powiedziała, że po Józia przyszła, a oni na mnie wskazali. Matka zaczęła płakać. Matka się zbliża, a ja się cofam. I zauważyła to jedna pani z naszego personelu i wyszła, zabrała matkę do kancelarii. Po chwili przyszła i powiedziała: *Józiu, żegnamy się, mama po ciebie przyjechała. Zabiera cię.* Całą drogę powrotną płakaliśmy i nie powiedzieliśmy do siebie nic.

Z Francji wróciliśmy do Polski w ’48 roku, a od ’50 mieszkam na Wełnowcu. Moja rodzina w okresie okupacji była podzielona: ja w ochronce w Warszawie, matka i siostra we Francji, a ojciec brał udział w II wojnie światowej – walczył w I Dywizji Pancerniej pod dowództwem generała Maczka. Pierwszy do domu, do matki, wrócił ojciec, ja jako ostatni w ’46.

Tu na Wełnowcu uczyłem się w Państwowym Gimnazjum Hutniczym przy Zakładach Cynkowych Silesia. Potem podjąłem pracę w Zakładach Cynkowych Silesia, gdzie przepracowałem 50 lat. Tutaj założyłem rodzinę. Żona tutaj pracowała (też tu przyjechała – ale z Gdańska). Mamy dwoje dzieci – Marka i Jolę.

Jest prawdą, że historia się powtarza: moi rodzice w latach trzydziestych za pracą wyjechali do Francji, a moje dzieci w latach osiemdziesiątych wyjechały z Polski, również za lepszymi warunkami życia. Syn mieszka w Niemczech, a córka w Sydney – w Australii.

Dobrze mi się mieszka, tu na Wełnowcu, na Szczecińskiej. Jest dużo zieleni.



DOSTRZEŻONE

SEN O DĘBIE

W samym sercu naszego miasta, na ławeczce pod wielkim dębem, czytałam książkę w jego cieniu. Przysiadł się do mnie Człowiek z Puską i zagadnął o drzewie, a po chwili opowiedział mi historię prawdziwą, taką oto:

– 100 lat temu we wsi Zagórzycie chorzy na gardło lub cierpiący na ból zębów szli przed wschodem słońca, nie odwracając się, do lasu, w miejsce, gdzie rósł stary dąb zwany Doktorem. Po przybyciu na miejsce chory odmawiał trzy razy *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Maryjo*, następnie trzykrotnie obchodził drzewo, wymawiając następujące słowa: *Powiedzże mi, powiedz, mój kochany dębie, jakim sposobem leczyć zęby w mojej gębie*.

– Ciekawa historia – odrzekłam.

– Zgadza się, ale znam jeszcze ciekawszą. Mało tego, możesz stać się jej częścią, jeśli chcesz. Wiedz jednak, że nie wszystko, co widać, jest prawdziwe, nie wszystko, czego nie możesz zobaczyć wzrokiem, nie istnieje, a tam, gdzie patrzysz, istnieją rzeczy, których nie możesz sobie nawet wyobrazić. Dołącz do tych, którzy chcą poznać tajemnicę światła i czasu. Spójrz za siebie i podążaj za dębem. Ja jestem jego głosem.

– Kim jesteś?

– Nazywają mnie Łowcą Snów. A ciebie jak zwą?

– Jestem Alicja. Byłam już w krainie czarów. Możesz mnie czymś zaskoczyć?

– Spójrz za siebie i chodź ze mną.

Odwrociłam głowę. Pień drzewa się otworzył, a ja bez wahania weszłam do jego wnętrza, podążając za Łowcą Snów. W środku byli ludzie o ciekawych oczach. Wszyscy trzymali blaszane puszki z otworkami skierowanymi we mnie niczym broń. Przygotowani.

Łowca Snów wydał mi instrukcje, jak skonstruować puszkę i jak z niej korzystać. Wyposażeni w magiczne, blaszane narzędzia wyruszyliśmy w drogę. Naszym zadaniem było połączyć sen z jawą, zamienić obraz w to, czego nie ma, i nic w to, co widać. Staliśmy się łowcami światła i operatorami czasu. Za dotknięciem magicznych puszek zaczęły pojawiać się rzeczy, których nie ma, i znikać te, które są. Znikali nawet ludzie, całe grupy ludzi, znikły samochody i zwierzęta, a pojawiały się przedmioty i zjawiska natury, jakich nikt nigdy wcześniej nie widział.

Stary dąb wpuszczał nas do swojego domostwa, zapraszał w zakręty swoich konarów, opłatał liśćmi i szumiał wiatrowi melodie do rytmu. Częstował nas słońcem i dobrą pogodą. Rozdawał światło i skrywał w cieniu przed skwarem. Wyławialiśmy cienie i światła, jasność i ciemność, wędka



pod postacią czasu. Patrzyliśmy światłem. Wyposażeni w blaszane puszkę z otworkami rejestrowaliśmy wszystko, co dąb nam chętnie pokazywał. W nadziei spełnienia obietnicy Łowcy Snów, że kiedy się obudzimy, odnajdziemy dowód na to, że sny mogą być prawdziwe.

Przemierzaliśmy wiele dróg, wkradaliśmy się w miejsca hermetyczne i niedostępne. Budziliśmy niepokój mieszkańców przyległych terenów. Kiedy już byliśmy gotowi i mieliśmy zamknięte w puszkach nasze światła i czas, Łowca Snów zamykał nas w ciemnej celi, kazał nam niszczyć puszkę, polewać je roztworami i wodami. Pracowaliśmy po omacku, wygrzebując z puszek kawałki papieru i przyklejając je do ścian.

Kiedy uznał, że dobrze wykonaliśmy zadanie, zapalił światła i pozwolił nam opuścić celę.

Obietnica Łowcy Snów została spełniona – trzymaliśmy w dłoniach dowody na prawdziwość snów i ułudę rzeczywistości. Tymi dowodami są właśnie niniejsze fotografie wyjęte z puszek z otworkami.

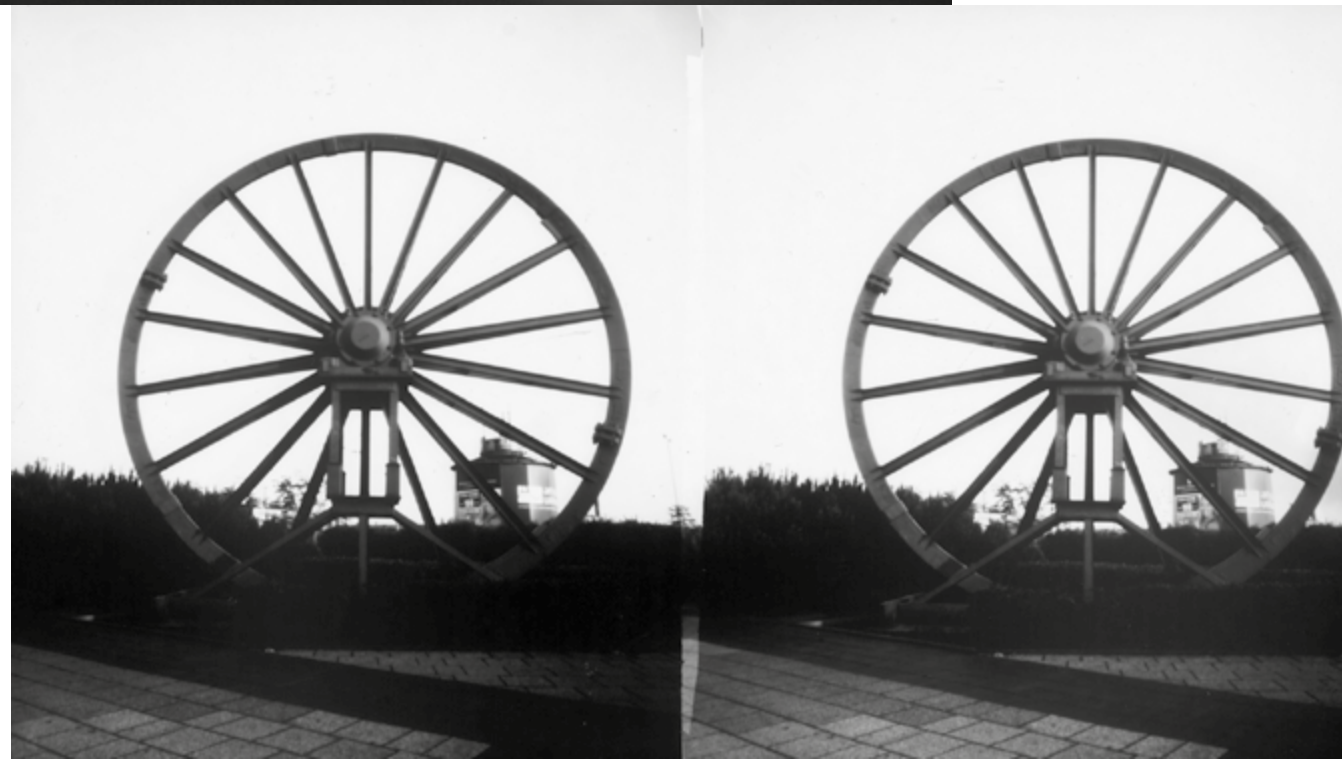
Nie wszystko udało nam się odnaleźć, czas na sen był ograniczony, przyszła pora przebudzenia, a wraz z nią nowe spojrzenie na świat, który wokół nas trwa. Świat, który zmienia się z każdym wyłonieniem się słońca zza chmur, każdym deszczem i podmuchem wiatru, każdą sekundą, każdym spojrzeniem, uśmiechem, słowem.

Widać na tych kawałkach papieru, jak przeglądaliśmy się w nas samych, podglądaliśmy przez nie innych. Szukamy siebie i odpowiedzi, a może pytamy o świat? A może pytamy o sens? A może pytamy o prawdę?

Sen się skończył. Łowca Snów i my, drużyna światła i ciemności, gotowi jesteśmy na dalsze wyzwania. Żegnamy stary dąb i dziękujemy za gościnę i ścieżkę, którą pozwolił nam przemierzyć. A przede wszystkim dziękujemy za lekcję patrzenia i nasze spotkanie. I za to, czego nie ma, a jest.



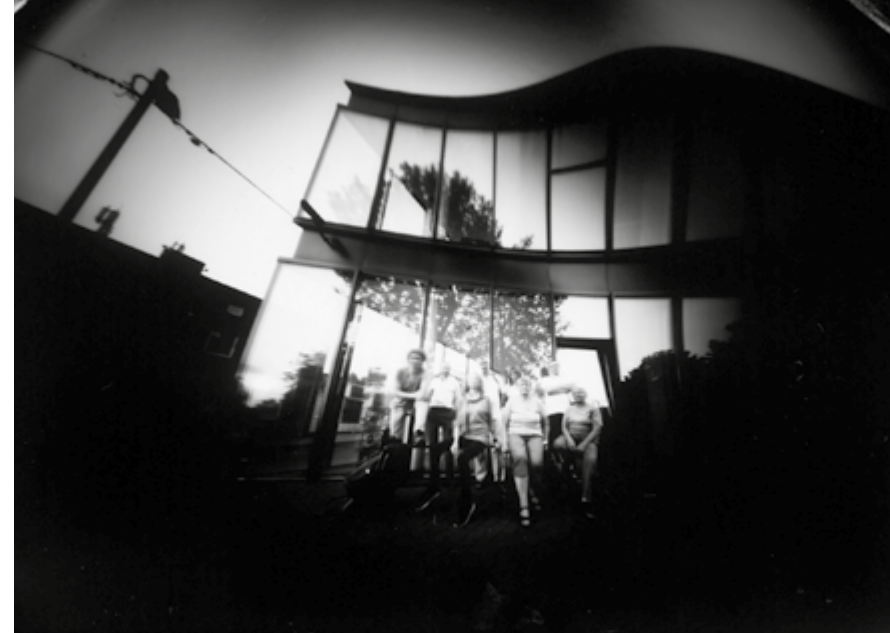
Penetrując zakamarki dzielnicy, na przestrzeni kilku miesięcy zatrzymaliśmy ją – zamykając w blaszanych pudełkach. Dla tych obiektów, których rozkład trwa całe wieki – byliśmy zbyt szybcy, dla tych zaś, co przemijają, jakby za bardzo się wstydyli swojego rozgorączkowania – byliśmy zdecydowanie zbyt powolni. Dlatego momentami może się wydawać, że to czułka jakiegoś napotkanego ślimaka posłużyły nam za mikrostatyw. Tak też to wspólne doświadczenie odbieram: kompletne zrelatywizowanie czasoprzestrzeni. Zupełnie jak we śnie... Bo gdzie indziej można spotkać takie puste ulice?











DOSTRZEŻONE









WYOBRAZONE

TRZEPAK PRZY UL. AGNIESZKI

Często chodzimy na trzepak przy ulicy Agnieszki. Trzepak jest fajny, bo można robić fikołki, wspinać się. Możemy robić różne zawody, na przykład bieganie na czas, zawody gimnastyczne, wspinanie się.

Jak już jesteśmy na trzepaku, to gadamy sobie o koleżankach, czy są niedobre, czy dobre. Czasem zastanawiamy się z Kaśką i z innymi, którą koleżankę lubimy, a którą nie. Takie babskie rozmowy...



ZDJĘCIE DZIADKA



To jest zdjęcie z pamiątnika wnuczki, która dostała od dziadka stare zdjęcia reprezentacji zapasniczej.

Sama siebie dokleiła, bo też chciała być w takiej reprezentacji.



BAJKA, KTÓRA ZMIENIA ŚWIAT

Malarz wygonił dzieci ze śmietnika. One tam znalazły bajkę i zmieniły świat.



SZKOŁA NR 19 W KWIATACH

To my, jak szliśmy na dach naszej szkoły. Właśnie tam był nowy ogród i wszyscy, wszystkie klasy, posadzili kwiatki, takie same. A później, po kilku dniach, urosły kwiaty, które były większe niż szkoła.

Chciałabym mieć taki ogród na dachu.



ZAWIOŻĘ KWIATKI I RÓŻE

Posadziłam kwiatki i zawiozłam je do centrum, żeby ludzie mogli je podziwiać. To jest moja ręka, którą sadzę kwiaty. Najbardziej z kwiatów lubię róże.

Chciałabym, żeby przenośny ogród wędrował po dzielnicy.

GOŁĄB

To wszystko wydarzyło się w krzakach przy ulicy Dębowej, gdzie leżał koszyk. Ptaszek zleciał z nieba. Leciał, leciał sobie do mamy. Później wpadł do koszyka, a w tym koszyku była poduszka. Duch Alan, jak go zobaczył, to zrobił czarne chmury. A potem te chmury uciekały, uciekały ode mnie.

Ten biały gołąbek był dobry, chciał tylko wziąć jedzenie i polecieć do mamy, ale duch Alan mu zagroził drogę. Duch Alan zrobił to specjalnie, bo nie lubił ptaków, bo cały czas go dziobią po główce.

Znalazłam się w tej opowieści, bo zauważyłam, że duch Alan tego ptaszka chce zaczarować. Chciałam mu pomóc. Powiedziałam: *Duchu Alanie, czemu bijesz tego ptaszka?* i zawołałam jego mamusię.

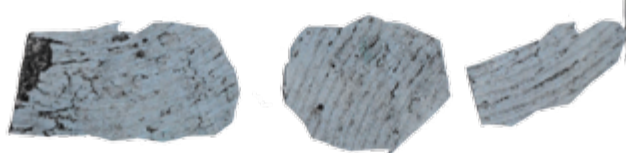
Od tego momentu żyli razem. Ten duch później poszedł sobie do gniazda gołębi i musiał być ich służącym. Został uwięziony w klatce, te krzaki go ścisnęły.

Teraz często widuję tego gołębia na Dębie. Jest wyjątkowy, bo był taki tylko jeden na świecie. Ma inny kolor, ma inne, białe kropeczki.



MAGICZNY SKLEP W GALERII HANDLOWEJ

Moi rodzice chcieli kupić koleżance Julki prezent, tylko nie wiedzieli co, i najpierw się zastanawiali nad lalką, która ma sprężynę i kiwa głową. Ta zabawka była wyjątkowa, bo miała małą głowę, miała sprężynę i w dodatku prawie nie miała włosów. Ta zabawka ma z tyłu dzyndzelek, którym trzeba zakręcić. I jeszcze można dotknąć tej głowy i ona się tak buja, i jest ten dzyndzelek z tyłu, i ta lalka tańczy *Gangnam style*. Takie lalki można kupić w galerii. Rzadko tam bywam, bo moi rodzice nie chcą mnie tam zabierać.





OPUSZCZONY DOM PRZY UL. DĘBOWEJ

W tym domu mieszka czterech bezdomnych – wiem to, bo widziałam ślady ich rąk. Pilnuje tego wszystkiego pies, który się przybłąkał i którego przygarnęli bezdomni. Ten pies ich chroni przed obcymi – ludźmi, którzy mają mieszkanie. A to są cztery odbite ręce tych bezdomnych, żeby wiedzieć, kto tu mieszka. Myślę, że celowo oznaczyli miejsce swojego zamieszkania. Tu budują swój dom.

Każdy jest zadowolony, jak wygląda od środka budynek, gdzie mieszkają bezdomni, ale nikt nie chce tego przeżyć.



OPUSZCZONY SAMOCHÓD PRZY UL. SPORTOWEJ

Nawet w samochodzie może ktoś mieszkać. Jest tam cień człowieka, co oznacza, że ktoś jeszcze tam może być. Każdy człowiek ma swoje miejsce na świecie. Ten akurat mieszka w aucie. Ludzie wiedzą, że on tam jest, bo przechodzą i myślą: *Jak można mieszkać w samochodzie?*. A dla takiego bezdomnego to kwestia życia i śmierci, bo na ulicy mógłby umrzeć. Zwykli ludzie mu nie pomogą, bo dla nich to niezwykła sytuacja, bo oni mają dom, mają wszystko, a taki człowiek nie ma nic.

Każdy człowiek może iść dalej, ale może też stać w miejscu. Może wszyscy odeszli, wszyscy go zostawili. Pozostał po nim cień, nie ma nawet twarzy.

OPUSZCZONY DOM PRZY UL. ŻŁOTEJ



Ten dom w środku jest bardzo zniszczony. Są tam naczynia, z których można pić, i pudełko po papierosach. Bezdomni tam jedzą, śpią, piją, leżą i nigdzie nie wychodzą, bo się wstydzą.

Zawsze bałam się tam wejść – zdjęcia robiłam zza krzaków.

Któregoś dnia nie wytrzymałam i z ciekawości weszłam do środka przez zawsze otwarte duże drzwi. Kiedy byłam w budynku, miałam wrażenie, że ktoś tu mieszka. Wewnątrz był materac, kurtka powieszona na gwoździu, gąbka, szklanka. Wyglądało to tak, jakby ktoś przed chwilą wyszedł.

Ten kod symbolizuje to, co trzeba zrobić, by dotrzeć do ludzi bezdomnych. Oni mówią normalnym językiem, tylko zazwyczaj tacy ludzie są po różnych przejściach i nie chcą się otwierać. Myślę, że każdy bezdomny może wyjść z tego, że może przestać być bezdomnym i być normalnym, jak wszyscy, mieć dom i pracę.

Trzeba jedynie przejść przez te drzwi. One nie są zamknięte na kłódkę, wystarczy tylko pociągnąć klamkę.

ZŁOMOWISKO PRZY UL. SPORTOWEJ

Lubię stare auta, bo otwieram w nich bagażniki. Ludzie w bagażnikach zostawiają fajne rzeczy. Mam taki płaski śrubokręt i mogę iść na złomowiec, tam przeskakuję przez bramę, zeskakuję z auta i wbijam śrubokręt, po czym zaglądam do środka bagażników. Kiedyś znalazłem dwa złote. W tej pracy jest historia z 2025, akcja dzieje się na złomowisku przy ulicy Sportowej, na którym znalazłem kasę, za którą kupiłem samochód.

W moim świecie jest pełno samochodów, starych i nowych, jakich się tam chce. Samochody bardzo mi się podobają, szczególnie te z PRL-u, no na przykład ten pomarańczowy fiat. Chciałbym go mieć. Myślę, że działa, że jest w nim potrzebny tylko akumulator. Myślę, że by jeździł. Lubię jeździć samochodami. W ogóle to wszystko lubię z PRL-u, oprócz budynków.



GKS

Jestem kibicem, chodzę na mecze. Zaczęło się od tego, że kiedyś tata zabrał mnie na mecz, tak po prostu. Sam kiedyś chodził na mecze, gdy był młodszy. Teraz ja też chodzę na mecze, kibicuję i wszyscy na mnie mówią „Gieksa”.

Chciałbym być piłkarzem. Trenuję piłkę nożną w klubie, w „Kolejarzu” – tu, na Alfreda. Paru kolegów z mojej klasy też tam chodzi. Chodzimy tam cztery razy w tygodniu. Starcza nam sił, bo każdy z nas jest w to zaangażowany.



Tu na Gnieźnieńskiej mieszka dużo osób, które znam, tutaj zawsze się coś dzieje. Różne głupie rzeczy. Czasem ktoś śniegiem w kogoś rzuca, inny lubi zaczepiać.

Ta dzielnica jest dla mnie ważna i nie chciałbym nigdy nigdzie się przeprowadzać, bo nie chcę stracić tych wszystkich fajnych przyjaciół, którzy mieszkają na Gnieźnieńskiej, o na przykład za tymi drzwiami. Te drzwi są od jednego kolegi. Chodzimy codziennie na plac przy hucie. Dużo razy tam byliśmy i fajnie spędzamy tam czas: wygłupiamy się, gramy w chowanego, szarpiemy się, robimy bazę. Nasze miejsce to także straszne domki i tam jest taki mur, przez który trzeba było przeskakiwać, a chłopcy, jak to chłopcy, rozwalili ten mur i teraz normalnie można tamtędy przechodzić. I tam siedzimy, gadamy, wygłupiamy się.

Przeszkadza mi tutaj tylko to, że gdy wszyscy wychodzimy na dwór, to jeden coś powie i zaczyna się dalsza kłótnia, ktoś kogoś obroni i potem źle się dzieje. Denerwuje mnie u moich kolegów, że gdy idzie ktoś, kto się na nich patrzy, to od razu chcą go bić albo coś w tym stylu. Czasem też jest tak, że chłopcy rzucają z mostu workami z wodą. Wchodzą na most, nalewają do woreczków wodę i rzucają. Po miesiachu dopiero idziemy i przepraszamy siebie.

UL. GNIEŹNIEŃSKA



CHCIAŁBYM ZOSTAĆ ARCHITEKTEM



W przyszłości chciałbym zostać architektem i projektować różne budynki. Podoba mi się ten budynek, bo jest taki nowoczesny. Kiedyś była tutaj tylko trawa i droga. Teraz jest nowoczesny budynek...



FABRYKA SAMOCHODÓW NA JÓZEFOWCU

To jest wymyślona przeze mnie fabryka samochodów. Chciałbym, żeby była tutaj gdzieś w okolicy, ponieważ interesuję się motoryzacją i wyścigami. Bardzo chciałbym w takiej fabryce pracować. Mógłbym tam wymyślać i testować nowe auta, doskonalić je. To jest moje marzenie związane z dzielnicą.

Gdyby taka fabryka powstała gdzie indziej, to dojeżdżałbym do pracy. Wolałbym jednak zostać w swojej dzielnicy, bo tak naprawdę już się bardzo do niej przyzwyczaiłem. 12 lat to już jest dużo, a do tego nie lubię za bardzo zmieniać miejsca. Tutaj mam dużo przyjaciół, kolegów... Nie chciałbym tej dzielnicy opuszczać.



Zaprezentowane opowieści są efektem projektu *Opowieści Stąd*, którego celem było sprowokowanie mieszkańców dzielnic Dąb i Józefowiec-Wełnowiec do spojrzenia na miejsce zamieszkania jak na obiekt twórczych poszukiwań. Rozdział *Wysłuchane* to opowieści dorosłych i seniorów, które zostały zebrane podczas zajęć dziennikarskich oraz arteterapeutycznych. Druga część – *Dostrzeżone* – to wybrane wypowiedzi i prace powstałe podczas warsztatów fotografii otworkowej, w których wzięli udział dorośli oraz młodzież. Ostatnią część stanowi *collage* będące efektem warsztatów arteterapeutycznych *Moja dzielnica*, realizowanych z dziećmi i młodzieżą.

PROWADZĄCY WARSZTATY

Warsztaty arteterapeutyczne: *Anna Nowak*

Warsztaty dziennikarskie: *Dorota Gonet*

Warsztaty fotograficzne: *Krzysztof Szlapa*

POMYSŁODAWCA I KOORDYNATOR PROJEKTU

Anna Nowak

OPRACOWANIE I REDAKCJA PUBLIKACJI

Redakcja merytoryczno-historyczna: *Urszula Rzewiczok*

Korekta: *Monika Mielcarek*

Skład: *Katarzyna Olga Jarecka*

Transkrypcje nagrań: *Alicja Boroń, Dorota Gonet, Anna Nowak*

AUTORZY FOTOGRAFII DO ROZDZIAŁU DOSTRZEŻONE

Kristine Danielyan, Iryna Valodzka, Maciej Szlapa, Kordian Kloc, Monika Wziątek, Justyna Jasica, Alicja Nowacka, Paweł Graja, Tara Hernandez Cazorla, Abel Lorenzo de Leon, Karolina Vincenc, Dariusz Czapla, Edward Grządziel, Iwona Żukowska, Alicja Miszta, Alena Yarmolenka, Vardges Muradyan, Krzysztof Szlapa.

POZOSTAŁE FOTOGRAFIE

Zbiory uczestników zajęć

POMOC PRZY REALIZACJI

Caritas Archidiecezji Katowickiej, Ośrodek św. Jacka (Dzienny Dom Pomocy Społecznej św. Jacka i Świetlica Środowiskowa św. Jacka)

Fundacja Dla Ludzi Potrzebujących Pomocy „Gniazdo”

Szkoła Podstawowa nr 19 im. W. Korfańskiego w Katowicach

Szkoła Podstawowa nr 17 im. T. Kościuszki w Katowicach

Klub Spółdzielczy KSM „Józefinka”

Muzeum Historii Katowic

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Projekt *Opowieści Stąd* został dofinansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Edukacja kulturalna” i zrealizowany przez Miejski Dom Kultury „Koszutka” w Katowicach.